

Toronto, w Uroczystość Matki Boskiej Częstochowskiej, 26 sierpnia 2009 roku

**Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus
i Maryja Niepokalana!
Szczęść Boże wszystkim Czytającym!!!**

Jak przystało na wierność tradycji, moim Korespondentom przekazuję krótkie sprawozdanie z tegorocznego urlopu w Europie. Jeszcze w połowie urlopu nie miałem nic ciekawego do napisania, ale ostatnie dwa tygodnie były bardzo bogate w niespodzianki i stąd jednak mam coś niecoś do napisania.

Przygotowania rozpocząłem w kwietniu zakupem odpowiedniego biletu na samoloty i miejsca w monachijskim hotelu. Wstępnie uzgodniłem terminy spotkań w Polsce. Problemem był złoty jubileusz kapłanów diecezji warszawskiej wyświęconych w dniu 2 sierpnia 1959 roku. Z tego powodu wybrałem termin urlopu właśnie od połowy lipca do połowy sierpnia, jednakże zbyt późno otrzymałem list informujący mnie o koncelebrze jubilatów w warszawskiej Katedrze jeszcze przed wakacjami. Zmiana terminu urlopu nie była możliwa. Ale obrazki otrzymałem. Są na nich nazwiska dziesięciu jubilatów żyjących, jedenastu zmarłych oraz trzech – ja wśród nich – wyświęconych w roku następnym, gdyż brakło nam odpowiedniego wieku. Razem było nas dwudziestu czterech.

W tym roku postanowiłem przygotować drobne pamiątki w Kanadzie. Najwięcej cieszyły się dzieci z napisem Canada na ołówkach, którymi mogą chwalić się w szkole. Ale były i pamiątki religijne. Poprosiłem naszego parafianina i honorowego Oblata Maryi Niepokalanej o podwiezienie mnie do Midland, aby kupić je w Sanktuarium Męczenników Kanadyjskich. Jednakże z powodu pamiątek torba nadana do samolotu ważyła ponad 12 kg!

Na lotnisko odwieziono mnie na 4 godziny przed odlotem samolotu, gdyż później nikt z domowników nie był wolny do takiej usługi. Na lotnisku miałem więc jeszcze możliwość spotkania wracającego z Polski ojca proboszcza, a wraz z nim przybyli jeszcze godniejsze osoby. Przez ponad godzinę oglądałem sklepy. Spotkałem dwie osoby wiozące do Polski ślubne suknie, z jedną nawet przez chwilę rozmawiałem, lecący do Polski narzeczeni brali udział w ostatnim kursie przedmiałżeńskim w naszej parafii.

A potem usiadłem w samolocie linii kanadyjskich. Lot do Monachium trwał około ośmiu godzin bez atrakcji. Miałem jednak wrażenie, że samolot częściej podskakiwał i silniej się bujał, niż podczas moich poprzednich lotów do Europy. Na lotnisku w Monachium po dłuższym spacerze znalazłem odpowiednie biuro, aby wykupić bilet ważny na wszystkie środki transportu miejskiego i po 45 minutach jazdy szybką koleją miejską byłem na dworcu głównym. Gdybym znał drogę, w hotelu VI VADI byłbym po 10 minutach. Miałem dokładny plan drogi, jednak źle odczytałem i doszedłem dopiero po 35 minutach. Od razu spotkałem się z życzliwym przyjęciem. Chciałem płacić za pobyt, jak to bywało innym razem. Tym razem jednak powiedziano mi, że należność jest już uregulowana dzięki przesłanemu przez biuro turystyczne numerowi karty płatniczej. Zyskałem więc 225 euro i nie musiałem wymieniać dolarów na miejscową walutę. Nie musiałem też czekać aż do godziny 15-ej, jako że według regulaminu o tej porze wchodzi się do pokoju. Dzięki temu miałem całe popołudnie na zwiedzenie okolicy hotelu. Tu, w centrum miasta, byłem już w 1988 roku, dokonując przez 3 godziny zakupów rzeczy pożytecznych na Madagaskarze, jednakże sklepów nie rozpoznałem. Jedynie bez trudu przypominałem sobie Katedrę, a przy okazji wszedłem do muzeum zabawek znajdującym się przy tym samym placu. Przed stu laty bogaci rodzice kupowali dla swoich dzieci zabawki, które stały się eksponatami. Zbiór ten wciąż się powiększa dzięki opłatom za wstęp. Drugi dzień poświęciłem na obejrzenie niemieckiego muzeum techniki. Na jednym hektarze zbudowano czteropiętrowy gmach, w którym można było nawet wchodzić na statki i do samolotów, oglądać uzbrojenie, balony, nauczyć się produkować szkło metodami egipskimi i czasowo bliższymi, były aparaty fotograficzne i filmowe i wiele innych rzeczy. Było kilka barów, ale tylko w jednym zjadłem przekąskę. Zwiedzanie muzeum i salonu wystawowego BMV połączyłem ze spacerem po ośrodku olimpijskim. Niektórych interesują tam tylko restauracje, dzieci korzystają z przejażdżek po wodzie, inni trenują na basenach, a ja przeszedłem tunelem przy akwariach z rybami, rybkami i koralowcami. Dużo czasu zajęły mi spacer po królewskich pałacach. Oglądałem królewskie karety, które miały nawet koła i orczyki złocone. Raz nawet jadłem obiad w królewskim ogrodzie, ale danie było barowe, tanie i smaczne. Za barem był duży budynek z restauracją, pewnie tam chodził jadać król, ceny były godne samego króla i jego rodziny.

Miasto jest piękne i dopiero zdjęcia w jednym z kościołów uświadomiły mi, że druga wojna światowa tutaj też zaowocowała zniszczeniami starannie usuniętymi i naprawionymi. W tym kosciele obok siebie były

wyłożone trzy zdjęcia: z roku 1939, 1945 i 1975. Odbudowa kościoła trwała więc 30 lat. Zauważyłem także, że do kościołów wchodzi nie tylko turyści. Podczas Mszy Świętych w tygodniu jest także spora grupa ludzi modlących się. Bawaria była katolicka i taką pozostała.

Jedno popołudnie poświęciłem wyjazdowi do Dachau. Nazwy nie trzeba Polakowi wyjaśniać. Dachau jest małą miejsciną położoną 15 km od centrum Monachium. Autobus z dworca podwozi do samego obozu, który można zwiedzać bezpłatnie. Sam obóz ma inny charakter, niż Oświęcim. W pustych pojedynczych celach tortur są opisane cierpienia więźniów bez eksponatów. Z dziwnym uczuciem patrzyłem na zdjęcie przedstawiające przybycie do obozu wyższych oficerów holenderskiej armii sfotografowanych razem z komendantem. Wszyscy się uśmiechali. Znalazłem też ślady pobytu Polaków, także liczby więźniów. Wszedłem do kościoła sióstr w karmelitańskim klasztorze przylegającym do obozu. Przed kościołem jest księgarnia nie tylko z książkami, ale też pamiątkami i sprzętem liturgicznym. Księgarnia w niedzielę była zamknięta. Obok obozu, w pobliżu krematorium, prawosławni zbudowali także niewielką, ale stylową kaplicę. Z więziennych baraków pozostały jedynie fundamenty. Krótki odcinek ogrodzenia dokumentował, że nie była możliwa ucieczka nawet pojedynczego więźnia, jak pouczał napis.

Na poniedziałek odłożyłem zwiedzenie galerii sztuki, ale wszystkie gmachy z obrazami i rzeźbami były zamknięte dla zwiedzających. W moim przewodniku kupionym jeszcze w Kanadzie tego nie napisali. Pochodziłem więc po parkach i skwerach bardzo licznych, wcześniej zjadłem kolację i dobrze wypocząłem przed krótkim lotem do Warszawy. Przy oddawaniu klucza w recepcji hotelowej spotkała mnie jeszcze jedna niespodzianka. Co prawda, wypilem dużo różnych soków i napojów, ale mój wykaz zawierał 4 butelki więcej, niż miała zanotowane to recepcja. Po prostu, nie policzono tego, co wypilem wieczorem i rano. Przy pożegnaniu nie upominano się, ale z własnej inicjatywy zapłaciłem także za zgubiony klucz hotelowy. W recepcji była taryfa za taką usługę wręczenia drugiego klucza, jednak przy odjeździe personel nie upomniał się. Taka przygoda z kluczem zdarzyła mi się po raz pierwszy w życiu i to już pierwszego dnia pobytu. Drugi klucz otrzymałem bardzo szybko, zaraz po przyznaniu się do zguby. W recepcji nawet nie okazano zdziwienia taką sprawą. Widocznie nie byłem pierwszym.

Po raz pierwszy w Warszawie wszedłem do nowego terminalu. Byłem nieco zagubiony, nie od razu znalazłem informację, gdzie mam szukać mojego bagażu. A potem jeszcze długi korytarz i wyjście ze strefy celnej. Ja, oczywiście, nic do oclenia nie miałem, kontroli żadnej nie było, nawet nie trzeba było pokazać jakiegokolwiek dokumentu. I tak rozpocząłem urlopowanie w Polsce.

Pierwsze dni spędziłem z rodziną. Wydawało mi się, że nic ciekawego mi się nie zdarzy i nie zamierzałem przygotowywać się do spisywania urlopowych wspomnień. Ale już pierwsza wizyta u mego kolegi, proboszcza w Wyszogrodzie, zmusiła mnie do zmiany postanowienia. Zostałem zawieszony do Brochowa. Nieliczne w Polsce są kościoły, które zbudowano nie tylko dla modlitwy, ale także w celach obronnych. Wieś jest położona 12 km na południe od Sochaczewa, nad rzeką Bzurą. Z 1113 roku pochodzi dokument o poświęceniu drewnianego kościoła zbudowanego kilkanaście lat wcześniej. Świątynia murowana została postawiona w 1331 roku, rozbudowana w latach 1551-1561 i konsekrowana w 1596 roku. Kościół był zniszczony przez Szwedów i odbudowany w latach 1662-1665. W siedemnastym wieku kościół otoczono murem ze strzelnicami, ale już wówczas nie stanowił wielkiego znaczenia obronnego. Ciekawostką jest przy bramie zamurowane obecnie przejście tak małe, że nie przeszedłby koń. Kościół był zniszczony podczas pierwszej wojny światowej, przez pewien czas służył nawet za stajnię, gdy nad Bzurą toczyły się walki między wojskami rosyjskimi i pruskimi, Odbudowę zakończono w 1933 roku, a 6 lat później doznała licznych zniszczeń podczas bitwy nad Bzurą. Odbudowana w latach 1946-1949 obecnie powraca do swojej świetności w związku z rokiem Chopin'owskim (1819-1849) i funduszom z Unii Europejskiej. W tym kościele rodzice kompozytora zawarli związek małżeński w dniu 2. czerwca 1806, a ich syn Fryderyk Franciszek Chopin został ochrzczony w dniu 23. kwietnia 1810 roku, co upamiętniono na dwóch tablicach w kościele. A w kościele, na plebanii i przed plebanią widać artystycznego ducha proboszcza, który oddany restauracji umie pracować w duchu katolickim.

Wielką niespodziankę sprawili mi Warszawiacy organizując zwiedzenie Pałacu Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej. Zwyczajnie pałac dla zwiedzających jest otwarty w (niektóre) soboty i niedziele, o ile dobrze zrozumiałem informację, ale nas – trzy osoby – wpuszczono w czwartek. Dwa dni wcześniej przez telefon podałem moje dane osobowe i przy wejściu pokazałem jedynie polski paszport. Ponad godzinę trwało oprowadzanie nas po salach i po ogrodzie. Zaraz przy wejściu zapytałem, czy wolno fotografować. Zakazu nie było, więc przez cały czas chodziłem z aparatem w rękę, ale ze zdjęć nie jestem zadowolony. Fotografowanie w pośpiechu nie daje dobrych rezultatów, jednak każde zdjęcie jest pamiątką i mimo wszystko oglądanie nawet

tych nieudanych przywołuje miłe wspomnienia. Krótko odpoczywaliśmy w cieniu na ławce w ogrodzie, który przed 50 laty mogłem oglądać z okien Seminarium. Jedyne w czasie podpisywania dokumentów Układu Warszawskiego poradzono nam nie zbliżać się do okien. Po zwiedzeniu Pałacu zasiedliśmy wraz z naszym bardzo miłym Przewodnikiem w restauracji przy Krakowskim Przedmieściu naprzeciwko kościoła Sióstr Wizytek. W radosnej atmosferze i przy smacznych daniach spędziliśmy około dwóch godzin. Sam nie wszedłbym do takiej restauracji, gdzie porcja lososia kosztuje 56 złotych polskich, kawa złotych 10. Ale łosoś i deser lodowy były smaczne, warte tej ceny. Tego dnia zostałem nawet odwieziony do domu mego brata, chociaż to około 80 km, a w Warszawie w kierunku Raszyna samochodów jedzie dużo, zbyt dużo, jak na taką wąską drogę, zanim sznur pojazdów nie podzieli się na dwa ciągi w Jankach.

Pewnego dnia umówiłem się na zwiedzanie ciekawych obiektów, których do tej pory nie widziałem. Mój pierwszy nauczyciel wykorzystania komputera do pracy i zabawy wspomniął, że koło Brzezin jest przecież park dinozaurów. Kiedy następnego dnia przed rawskim kościołem wsiadłem do samochodu, dowiedziałem się o zmianie planów. Pojechaliśmy w innym składzie i w trochę innym kierunku. Ja siedziałem obok kierowcy, a za nami siedziało dwóch parafian z Wysokienic, jeden z nich uczęszczał na katechizację, kiedy ja tam byłem wikarym w latach 1967-1970. Przejechaliśmy przez Puszcę Bolimowską zatrzymując się w Bełchowie przy kościele pod wezwaniem świętego Macieja Apostoła. Parafia była erygowana w 1649 roku. Fotografowałem kościół wewnątrz i zewnątrz, trafiliśmy na sprzątanie kościoła. Mam miłe wspomnienie związane z tą miejscowością. W pobliskim Nieborowie przed kilkunastu laty był zjazd kursowy. Na zaproszenie ówczesnego proboszcza udałem się także i ja. Inny z kolegów obiecał po mnie przyjechać, ale popsuł mu się samochód (przestały reagować hamulce), więc o tym powiadomił mnie przez telefon. Ja od razu pojechałem autobusem do Skierniewic, a stamtąd pociągiem do Bełchowa, stacji najbliższej położonej Nieborowa. W upalny sierpniowy dzień miałem do przejścia około 6 km. Po wyjściu na drogę zostałem zauważony przez policjanta (szedłem prawidłowo, z lewej strony jezdni, często ustępując jadącym samochodom). Samochód minął mnie, ale po zawróceniu zatrzymał się przy mnie i od kierowcy usłyszałem polecenie wejścia do radiowozu. Zostałem podwieziony przed plebanię w Nieborowie i wysadzony w bramie, więc opuściłem radiowóz dyskretnie. Byłem godzinę przed czasem, pierwszym, więc koledzy nie widzieli tego pojazdu.

Drugim przystankiem był kościół w Kompinie. Parafia pod wezwaniem św. Wojciecha została erygowana w 1445 roku przy drewnianym kościele, który spłonął w 1889 roku. Obecny, neogotycki kościół z dwoma wieżami liczy sobie 110 lat. Zrobiwszy kilka zdjęć obeszliliśmy świątynię dokoła i pojechaliśmy dalej, do bardzo turystów interesującego muzeum w Sromowie. Po krótkim oczekiwaniu przyłączyliśmy się do turystów z Danii. W czterech domach są zebrane rzeźby, powozy i narzędzia łowickiej ziemi, a wszystko się porusza. Nie brakuje tu także polskich akcentów patriotycznych. Muzeum jest dziełem jednego człowieka, obecnie jego syn opiekuje się zbiorami, powiększa je i oprowadza. Nie brak też akcentów humorystycznych. Zaraz przy wejściu wita podobny do Prezydenta Bolesława Bieruta Łowiczanin podając rękę wchodzącemu. Podpatrzyłem, jak to przemyślnie zostało zrobione.

Następnym przystankiem był skansen. Tu przeżyłem wielką niespodziankę. Nie tylko, że za mnie nie zapłacono biletu wstępu, ale jeszcze otrzymałem klucze do kościoła przeniesionego z Wysokienic. Po wybudowaniu nowego kościoła parafii trudno byłoby utrzymywać dwa budynki, więc znaleźli takie rozsądne rozwiązanie. Modrzewiony kościół w Wysokienicach został zbudowany w 1758 roku, a właściwie przyniesiony z sąsiedniej parafii Głuchów Skierniewicki, wówczas liczył około 200 lat. Na potrzeby wiemych w nowej parafii okazał się nieco za mały i po pewnym czasie został przedłużony o około 5 metrów – o ile dobrze pamiętam. Wewnątrz kościoła były zabytkowe organy mechaniczne. W skansenie ma wielkość pierwotną, bez przedłużenia. Modrzewiowe bale i deski są na swoim miejscu, jak w Wysokienicach. Wewnątrz nie ma jeszcze ołtarzy (są w pracowni konserwatorskiej w Krakowie), konfesjonałów i ławek (są w jednej ze stodół skansenu), a sufit na razie spoczywa na podłodze. Dziwnie wygląda dawna zakrystia bez umeblowania, nie ma też przewodów elektrycznych ani ładnych żyrandoli. Podobno do końca roku wyposażenie kościoła na znaleźć się na właściwych miejscach. Jest przewidziane odprawianie Mszy Świętej w niedziele oraz dla chętnych zawieranie Sakramentalnego związku małżeńskiego. Parafianie z Wysokienic są przywiązani do tej świątyni, w której zawierali małżeństwo, otrzymywali Chrzest Święty, przystępowali do Bierzmowania i nie tylko do pierwszej Spowiedzi i Komunii Świętej. W tym kościele sfotografowałem grzeczną Zosię, ale nie mogę przesłać jej zdjęcia, ponieważ nie znam adresu. Na podany adres email'owy nikt nie odpowiedział. Wchodziliśmy do różnych zabudowań, tak często pomalowanych w kolorze zwanym ultramaryną. Oglądałem mieszkania, stodoły, obory bez bydła, a także narzędzie. Towarzyszący mi dawni parafianie zauważyli, że w cepie brakuje drobnych

części, co utrudniałoby mówienie. Był nawet bar, w którym zjedliśmy bardzo smaczny żurek podany w metalowym talerzu. Tak po swojsku.

Już w zmniejszonym o połowę składzie (praca, wizyta u dentysty) dowieziono mnie do Żelazowej Woli. Trudno było zwiedzić ogród ze względu na prowadzone prace, zwłaszcza budowy przy drogach na skraju parku. Ale w dworku byłem. Oryginalnego fortepianu nie było, meble raczej nieliczne. Dworek wydał mi się bardzo skromny. Był też zakaz robienia zdjęć. Na chwilę usiedliśmy przed budynkiem, aby posłuchać melodii Pana Mistrza, o którym pewna uczennica polskiej szkoły napisała, że był największym muzykantem świata. W drodze powrotnej do Skierniewic zatrzymaliśmy się w Sochaczewie. Kiedy proboszczem był kolega kursowy, tu bywałem częściej. Zrobiliśmy kilka zdjęć i poszliśmy do baru na drugi obiad. Nie przewidzieliśmy, że w Skierniewicach był przygotowany jeszcze trzeci u dawnego mojego ucznia. Przy okazji dowiedziałem się, jakie nieszczęście spowodowałem 25 lat temu. W Wysokienicach miałem kazanie misyjne w 1984 roku. Jak zwykle, po Mszy Świętej miałem zwyczaj rozmawiania z chętnymi. W domu pod opieką dziadka pozostało dwóch synów, lat cztery i dwa mających. Kiedy dziadek ujrzał samochody jadące od kościoła, poszedł odpocząć spodziewając się szybkiego przybycia mamy malców, który spali. Ich mama przybyła jednak znacznie później, niż się spodziewał. Otworzyła drzwi do domu i... zobaczyła tylko dym. Na szczęście, żaden z chłopców nie zaczął. Teraz, czasie mego pobytu u tej rodziny, poznałem sprawcę zdarzenia. Dwulatek obudził się, włączył żelazko i spał dalej. Do przybycia mamy musiało minąć nieco czasu, skoro żelazko przepaliło drewnianą podłogę nad piwnicą (5 cm). Więcej nie muszę dodawać. Teraz, po 25 latach, poznałem bezpośredniego sprawcę, który studiuje na Politechnice Warszawskiej, a jednym z jego profesorów jest Małgasz, którego zapoznałem w zakrystii kościoła w Raszynie w 1988 roku. W Raszynie poznałem też jego żonę (Polka) i pierwotnego synka. Przez kilka lat trwała między nami korespondencja, urwała się, jak wiele innych, gdy opuściłem Madagaskar.

Pierwszą niedzielę urlopu przeżyłem w Niemczech (Dachau), drugą w Racie Mazowieckiej, trzecią w okolicy Poznania i czwartą w Tarnowskich Górach. Bardzo podobnie przebiegały spotkania w dwie ostatnie niedziele. Nawet ilość osób przy stole była podobna. Młodzi przedstawiali mi ciekawe problemy, oczywiście, z religii. W moich listach nie mam zwyczaju pisać imion i nazwisk, wyjątek robię dla Fryderyka Chopin'a mając nadzieję, że się na mnie nie obrazi. Ale ciekawe zdarzenia i rozmowy przedstawię, uczestnicy rozmów ze mną z łatwością się rozpoznają. Na przykład, najmłodszy wymyślił nowy termin z okazji mojego przybycia: „**Święto Obżarstwa**”. Mnie sam tytuł się nawet podoba i będą go propagować. Trudno mi wyliczyć, ile razy świętowałem obżeranie się, ale waga nie odchyliła się więcej po przybyciu do Toronto. Zauważyłem raz, że wieczorem nawet dzieci już nie miały apetytu na ciasto wyglądające bardzo smacznie. I było, jak w Ewangelii o Marcie starającej się i męczącej się, aby tylko stół był pełny. Wystarczyłoby dużo mniej. W tym problemie miałem tylko jedną radość, że nigdy nie dręczono mnie wmuszaniem zjedzenia poza moje możliwości. No, może z jednym wyjątkiem.

Młodzież miała wiele pytań dotyczących życia Ewangelią. I to mnie bardzo cieszy. Nawet starsi byli zaskoczeni zainteresowaniem niektórymi problemami. W jednym wypadku starsi dyskretnie odsunęli się, aby młodzież była bardziej ośmielona do rozmowy ze mną. Myślę, że takiego problemu nie byłoby, chociaż i w tym wypadku starsi mieli rację. Niektórych problemów nie mogłem rozwinąć, spiesząc się na przykład na Mszę Świętą. Istnieje internet. Już miałem pytanie o Czerwony Szkaplerz. Czy wiecie, co to takiego? Ja już wiem, chociaż nigdy nie spotkałem osoby noszącej taki szkaplerzu. Nie dopowiedziałem, a przy tej dyskusji należało to powiedzieć, że ksiądz może nie znać osoby spowiadającej się, ale dobrze jest spowiadać się u tego samego spowiednika. Też tutaj uzupełnię ten problem, że przed spowiedzią należy pomodlić się w intencji księdza, który będzie spowiadał. Jemu pomoc Ducha Świętego też jest bardzo potrzebna. Przecież w konfesjonale nie ma podręcznika teologii moralnej czy duszpasterskiej, a jakieś słowo trzeba powiedzieć i to słowo ma zaowocować w życiu osoby spowiadającej się, a ksiądz nie ma wiele czasu na zastanowienie się nad podawaną nauką. Był poruszony problem Sakramentu Namaszczenia Chorych, a jest to także znak zgodzenia się z wolą Bożą i uznaniem, że zawsze najlepsze jest to, co Bóg chce. Był problem częstej Komunii Świętej, przyjmowanej godnie, aby nie była przyjmowana ze zwyczaju albo dla oka ludzkiego. Były żądania, aby Kościół był surowszy, jak w średniowieczu, jak do Saboru Watykańskiego II. Jak postąpiłby Pan Jezus wobec takich słabych chrześcijan? Owszem, jestem świadomy słów Ojca Świętego Benedykta XVI, że jest cierpliwy wobec nieposłusznych liturgistów, chociaż pragnie przywrócić sprawowanie Eucharystii z większym szacunkiem. Jak było dawniej. A więc warto było podać swój adres internetowy, który zresztą znajduje się w każdym moim liście.

Miałem małą przygodę podróżując do Częstochowy. Na szczęście, poszedłem na dworzec autobusowy, chociaż dużo bliżej miałem do przystanku. Kiedy minęła godzina odjazdu autobusu do Koluszek, zapytałem kierowcę autobusu jadącego do Łodzi, czy przez Koluszki jedzie? Okazało się, że został odwołany autobus, na który czekałem. Odwołania są skutkiem rozwoju komunikacji. Dużo więcej samochodów posiadają Polacy, autobusy są nierentowne. Pojechałem więc określną drogą nie znając możliwości połączenia. Na szczęście, był autobus i nawet nie czekałem długo. Mogłem w Częstochowie spędzić pełne 4 godziny, chociaż w samej kaplicy przy odsłoniętym obrazie być nie mogłem. Podczas sprawowanej Mszy Świętej było zbyt ciasno, aby podejść bliżej ołtarza. To zdarzyło mi się po raz pierwszy. Nie miałem jednak problemu przejść wałami przy stacjach Drogi Krzyżowej, mogłem też zrobić kilka zdjęć, jednak fotografowałem niewiele, w moim komputerze mam dużo zdjęć z poprzednich urlopów.

Na drzwiach do zakrystii w moim parafialnym kościele wisi napis: „dobrych ludzi zamykanie drzwi nie trudzi”. Ta piękna maksyma może sprawiać kłopot mnie i innym Kanadyjczykom. W Kanadzie zazwyczaj drzwi są tak wyważone, że zamykają się same, nie powodując hałasu. W ostatniej fazie zbliżania się do futryny wytracają szybkość. A że przyzwyczajenie jest drugą naturą, więc ja za sobą zostawiam drzwi zawsze otwarte, licząc na ich inteligentną pracę. Jednak dobrze, że ten napis mogłem czytać przy każdym przekraczaniu progu do zakrystii. Śmieszyl, ale pomagał pamiętać.

Krótko przed odlotem zostałem obwieziony przez swego kolegę odcinkiem drogi pielgrzymki warszawskiej, w której uczestniczył przynajmniej siedem razy. Nie zapamiętałem nazw wszystkich miejscowości, w których zatrzymaliśmy się, zwłaszcza przy kościołach. Niektóre były otwarte, wewnątrz innych można było zobaczyć przez szybę w drzwiach, a wtedy zdjęcie traci na ostrości, o ile w ogóle da się zrobić. Przy okazji dodam, że przed kilku laty po sfotografowaniu ołtarza, przy którym odprawiałem Mszę Świętą, zostałem upomniany przez młodą osobę lat około 17-tu wyczuloną już na szacunek dla miejsca świętego. I miała rację. Nawet przed ołtarzem Matki Boskiej w Częstochowie jest prośba, aby nie używać fleszu przy fotografowaniu, gdyż światło wysusza farbę, czyli niszczy obraz. Powie ktoś, że to chwilowy błysk i skutków żadnych nie zauważa się. To prawda, ale wystarczy pobyc w kaplicy niewiele czasu, aby przekonać się, ile takich niedozwolonych błysków przeszkadza w modlitwie i wysusza farbę, która kruszeje. Gdyby to był tylko jeden błysk dokonany przez myślącego w sposób opisany wyżej... ale jeśli tych błysków jest codziennie wiele, nic dziwnego, że po dniu Zwiastowania każdego roku potrzebna jest konserwacja Cudownego Obrazu.

Mój kierowca, ksiądz, w Paradyżu wspominał historię, która miała swój obraz w telewizji. Siedział sobie przy jednym z filarów krużganku okalającego plac przed wejściem do kościoła, a że nogi go bolały, więc zdjął buty i skarpetki. W pewnej chwili zbliżyła się przechodząca tamtędy pielęgniarka i powiedziała: „Nie podobają mi się nogi księdza”. Ten odpowiedział: „Mnie też się nie podobają”. Postanowiła pomóc, a na uwagę księdza, że spowiada, odparła, że jej to nie będzie przeszkadzało. Tak, trzeba mieć oczy spostrzegawcze, jak Matka Boża. Jako że oczy służą do patrzenia, nie do podglądania. Nasze oczy też.

Trudno nam było znaleźć drogę do Podklasztorza. W Sulejowie, miasteczku istniejącym już w 1145 roku i leżącym wśród pięknych lasów nadpiliczych jest szereg zabytków, jak górujący nad miastem neogotycki kościół św. Floriana z 1903 roku, klasycystyczna kaplica cmentarna z pierwszej połowy XIX wieku i kaplica Ligięzów pod wezwaniem Najświętszej Maryi Panny z połowy XVII wieku. Zwiedzanie zaczęliśmy od znalezienia jakiejś jadalni, ale to nam się szybko nie udało. Najpierw więc obejrzelśmy fragment zalewu Sulejowskiego. Zatrzymaliśmy się jedynie przy miejscu upamiętniającym początek szlaku wojennego 25-go pułku piechoty Armii Krajowej w Barkowicach Mokrych w lipcu 1944 roku. Próbowaliśmy coś zjeść w jakimś barze nad zalewem, ale nie było nic odpowiedniego, więc zawróciliśmy do miasteczka. Po obiedzie zapytaliśmy o drogę i datarliśmy do Podzamcza. Nawet nie było daleko od trasy, którą przejechaliśmy nie zauważwszy kierunkowskazu. Klasztor Cystersów ufundował książę Kazimierz Sprawiedliwy w 1176 roku w celu umocnienia religii katolickiej, a także z myślą o upowszechnieniu nowoczesnej na owe czasy kultury rolnej. Pierwsi zakonnicy przybyli tu w 1177 roku z klasztoru Morimond we Francji. Wkrótce po swoim przybyciu Cystersi wzniesli prowizoryczną świątynię, tzw. oratorium, którą w okresie 1213-32 pod kierunkiem włoskiego architekta rozbudowano w trójnawowy kościół pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny oraz św. Tomasza Kanterberyjskiego. Po zakończeniu budowy kościoła i po jego konsekracji rozpoczęto prace przy wznoszeniu wschodniego skrzydła klasztoru, mieszczącego m.in. dormitorium, celę opata i archiwum. Skrzydło to zostało jednak wkrótce zniszczone, bowiem nieufortyfikowane jeszcze wówczas opactwo w roku 1259 najechali, a potem spalili okrutni Tatarzy. Pod koniec XIV stulecia rozpoczęto budowę otaczającego klasztor murywanego zespołu umocnień. Kolejny najazd tatarski w 1431 roku wpłynął na intensyfikację prac fortyfikacyjnych. Około

1530 zakończono prace przy budowie południowego skrzydła klasztornego, do którego kilkadziesiąt lat później dostawiono skrzydło zachodnie. W nowych pomieszczeniach zlokalizowano m.in. refektarz, calefactorium i kuchnię. W 1584 na terenie opactwa umieszczono przeniesiony z Rawy Mazowieckiej skarbiec wojsk kwarcianych. Na przełomie XVI i XVII wieku powstał pałac opacki, do wieży opackiej dostawiono arsenał, a przybudówka do ówczesnej owczarni pełniła funkcję składu, obecnie służy za plebanię. Pożary niszczyły zabudowania i wciąż na nowo zniszczenia naprawiano. Tak było w roku 1790, 1847, 1923 i 1953. W roku 1819 nastąpiła kasata klasztoru przez władze rosyjskie, a dzierżawcy nie dbali o nieswoje mienie. W latach 1973-86 odbudowano z przeznaczeniem na hotel ciąg północnych obiektów gospodarczych, trwale zabezpieczono też zrujnowane, zabytkowe fragmenty młyna i pałacu opata. W 1986 roku do pomieszczeń należących do parafii powrócili oo. Cystersi i z ich powtórny przybyciem rozpoczął się kolejny etap prac konserwatorskich w kościele i zabudowaniach klasztornych. Kościół zbudowany przed 1232 rokiem do dziś przetrwał w bardzo dobrym stanie. Szczególnie zapadły mi w pamięci konfesjonały. Nie wiem, czy są wygodne, ale tak szerokie i z półokrągłą belką pośrodku, że chyba dwóch spowiadających księży nie przeszkadzałoby sobie. Uderzył mnie także intensywny zielony kolor stalli, konfesjonałów czy ambony. W kapitułarzu mieści się niewielkie muzeum, które zwiedziliśmy. Niestety, przez cały dzień padało i zostaliśmy zmuszeni do ograniczenia naszych spacerów ścieżkami wśród ruin i przy odbudowanych fragmentach klasztornej twierdzy, której część ponownie stała się własnością Cystersów. Warto tam było jechać. Marzyłem o tym od dawna, ale nie miałem okazji do zrealizowania tego pragnienia.

W drodze powrotnej pojechaliśmy jeszcze z Inowłódza w stronę Studziannej, ale do tego Sanktuarium nie dojechaliśmy, zresztą byliśmy tam na rowerach przed 50 laty, w czasach seminaryjnych. Do dziś mam przed oczami obraz na ścianie kościoła przedstawiający św. Jana Chrzyciela z podpisem artysty na sandale. Twórca obrazu znał więc Ewangelię i wyznanie niegodności św. Jana Chrzyciela, aby rozwiązać sandały Jezusowi, czyli być Jego uczniem. To był obowiązek ucznia, ale uczeń nie zawiązywał sandałów swemu nauczycielowi. Może dlatego, że rzemyk ściągnąłby zbyt mocno i sprawił ból? Naszym celem był szaniec poświęcony majorowi Hubalowi, który zginął w dniu 30. kwietnia 1940 roku. W miejscu śmierci ujrzelśmy nie tylko pomnik-szaniec poświęcony temu bohaterowi, ale także dwa samochody. Dotarły tu pomimo deszczu, jak nasz pojazd. W drodze powrotnej odkryliśmy restaurację rybną w starym młynie. Ścieżka prowadziła do wejścia pokazując urządzenia wodne. Danie rybne było smaczne. Niestety, zapomniałem, jak nazywała się ryba przez nas wybrana. Ale zapewniam, że była smaczna, warto było zatrzymać się tutaj, w pobliżu Inowłódza.

Udało mi się jeszcze zobaczyć ulicę Piotrkowską w Łodzi, zamienioną na teren rekreacyjny, na której można zobaczyć tylko uprzywilejowane pojazdy, jak rowery, ryksze, taksówki i wozy policyjne. W restauracjach (byłem w jednej) podają smaczne potrawy, a porcje są tak duże, że już nie zdobyliśmy się na zamówienie deseru. Przejechałem się na kilka godzin do Tomaszowa Mazowieckiego, aby przypomnieć sobie Niebieskie Źródła. W młodości dojeżdżałem tam na rowerze, to nieco ponad 30 km od rodzinnego domu. Teren parku wydawał mi się bardziej uporządkowany i zadbane. Miejsca mąconego piasku przez wychodzące wody odbijały się kolorem jasno niebieskim, może nawet bardziej zielonym, od ciemnego dna spokojnej wody. Byłem tam w porze obiadowej, ale karczma Flisaka była zamknięta. Na Placu Kościuszki jest kościół, który przed czterdziestoma laty przejmowali duchowni z Polskiego Kościoła Katolickiego. Przybyli wówczas księża rozdawali dzieciom obrazki, a wiadomo, że dzieci wszystko chętnie biorą. Jednakże dzieci zapytały swoich księży prawdziwie katolickich, czy mogą brać cokolwiek od księdza, który nie należy do Kościoła Katolickiego, chociaż tak się jego wyznanie nazywa? Obrazki przedstawiały świętych uznawanych przez Kościół Katolicki. Jeden z księży naprawdę katolickich zachęcał dzieci, aby brały jak najwięcej, aby materialnie wykończyć nasłanych do rozbijania parafii katolickiej, ale w niedzielę powinny przychodzić do kościoła świętego Antoniego i w nabożeństwach kościoła polsko-katolickiego nigdy nie powinny brać udziału. W tym czasie jeszcze liturgię sprawowano przede wszystkim po łacinie, a ci nowoprzybyli księża wszystkie modlitwy odmawiali po polsku. Nie podszedłem do tego kościoła, fotografowałem jedynie z przystanku autobusowego, więc nie wiem, czy nadal są tam nabożeństwa.

Nadszedł dzień pożegnania. W dniu 14. sierpnia odprawiłem Mszę Świętą w intencji tych, których spotkałem w czasie urlopu, a na drugi dzień zostałem odwieziony na lotnisko. Po raz pierwszy odprowadzano mnie dwoma samochodami. Już na początku urlopu ustalono, że bratanica z mężem odwieżą mnie na lotnisko, skoro bratanek przywiózł mnie z lotniska. Nie miałem jednak możliwości wcześniej spotkać się z mistrzem województwa w tenisie stołowym w kategorii do lat 11. Brał udział w obozie dla najlepszych w województwie, powrócił do domu w piątek, a po dwóch dniach wyjeżdżał na takiż sam obóz szkoleniowy ogólnopolski.

Możliwe było jedynie spotkanie w samochodzie w drodze na lotnisko. Siedzieliśmy obok siebie w samochodzie jego chrzestnego i stryja. Przy okazji dowiedziałem się i tego nijak nie mogę zrozumieć, że w województwie jest sklasyfikowany na szóstą pozycję, zaś w rankingu ogólnopolskim w swojej kategorii wiekowej jest piąty. Kto rozumny, niech mi to wytłumaczy. Przejazd przez Raszyn, a jechałem tamtędy kilka razy, zawsze zabierał dużo czasu z powodu licznych samochodów. Tego dnia jednak, w święto kościelne i państwowe, przejazd był łatwy, samochodów na drodze niewiele. Zamiast udać się do pracy, porządni katolicy w kościele czcili Wniebowziętą, zaś wszyscy porządni Polacy świętowali dzień Wojska Polskiego. A że na lotnisku kolejki przy nadawaniu bagażu nie było, więc mieliśmy czas na wstąpienie do baru. Przy kawie i soczkach dziewięć osób próbowało powiedzieć sobie i innym coś najważniejszego przed naszym rozstaniem. Przed ostatecznym pożegnaniem sfotografowano mnie jeszcze kilka razy i udałem się w kierunku samolotu. Tym razem przy kontroli paszportowej problemów nie miałem. A odprowadzający mnie weszli na taras widokowy i skierowali aparaty na samolot. Ja z autobusu podwożącego mnie do samolotu fotografujących widziałem. Jeszcze wieczorem, już w Toronto, oglądałem zdjęcia wówczas zrobione.

Sam przelot przeszedł bez historii. Obsługa niemieckich linii lotniczych Lufthansa była dobra i uprzejma, do posiłków dodawano uśmiech, który potrawom zawsze dodaje smaku. Nawet na krótkim pierwszym odcinku z Warszawy do Düsseldorfu podano przekąskę. Miałem tylko 55 minut na przesiadkę, a przejazd autobusem po lotnisku i przejście do odpowiedniej bramki też zajmuje trochę czasu, jednak wszystko odbyło się sprawnie. Przeszedłem też kontrolę graniczną między Unią Europejską, a Kanadą, co zajęło nie więcej, niż dwie minuty. Nie byłem ostatnim, który wszedł do samolotu. Tym razem siedzenia były wygodniejsze. Do tej pory zawsze w samolocie Boeing 747 w jednym rzędzie było 10 siedzeń, obecnie tylko 8 (2+4+2). Jako że duch ważniejszy od ciała, najpierw rozdano nam słuchawki, potem obiad. Stewardes wymienił kilka propozycji do wyboru, ale ja angielski znam na tyle, że zawsze wybieram danie z kurą i nie żałuję. Łatwiej jest mi wybrać napoje. Przed lądowaniem otrzymaliśmy jeszcze kanapkę, tym razem zrozumiałem, że proponowano albo z szynką, albo z warzywami, czyli kanapkę jarską. Podczas lotu można było oglądać filmy, słuchać muzyki lub wiadomości, a co pewien czas można było wziąć napój z tacy w rękach stewardesy. Wilgotność powietrza w samolotach nie przekracza zazwyczaj 10%, więc dobrze jest włączyć do organizmu jakiś płyn. Ja najczęściej wybieram sok pomarańczowy, najłatwiej jest mi wymówić jego nazwę po angielsku. Ale też swoim zwyczajem spałem albo drzemałem i nawet nie zauważyłem, kiedy położono przede mną kartę składaną przy kontroli celnej,

Odwożący mnie na lotnisko w Toronto współbrat, który przed wstąpieniem do naszego Zgromadzenia pracował jako celnik, stwierdził, że w jego oczach byłbym podejrzany ze względu na małą ilość bagażu: 12,3 kg. W tak daleką drogę zabiera się więcej, nawet jeśli są to tylko rzeczy osobiste. Po rozdaniu wszystkich pamiątek przywiezionych z Kanady mój bagaż stał się jeszcze lżejszy, waga w Warszawie wskazała 8,3 kg, co jest moim rekordem w podróży międzynarodowej. Do tego jednak trzeba doliczyć torbę podręczną z dużą portponetką na dokumenty i pieniądze, z dwoma długopisami i krzyżówką, nawet kilka udało mi się rozwiązać w pierwszym samolocie, w drugim wolałem drzeć. Z pewnością rekord mógłby być lepszy, gdybym nie miał tam trzech książek: prezentu ze zdjęciami najpiękniejszych zabytków i pejzaży polskich oraz dwóch słowników. Pomimo tego nie miałem żadnych problemów na ciele w Toronto. W torbie było jeszcze 27 dysków CD z czytaniem w języku niemieckim kupionymi w księgarni na lotnisku w Monachium. Po prostu w domu chciałbym przypomnieć sobie ten język. Na Madagaskarze egzamin z gramatyki tego języka w liceum zdałem, ale teraz w Monachium trudno mi było znaleźć słowa niemieckie, częściej wypowiadałem angielskie. A że w hotelu, restauracjach, muzeach i innych miejscach moi rozmówcy znali także angielski, więc problemów nie miałem. Na ulicach najczęściej słyszałem rozmowy w dwóch językach: włoskim i polskim.

Na lotnisku w Toronto spotkałem dwóch współbraci oblatów, którzy odebrali mi walizkę, zanieśli do samochodu i wraz z bagażem dowieźli mnie do domu. Po krótkim odpoczynku mogłem jeszcze koncelebrować Mszę Świętą, gdyż w Polsce ze względu na wczesną godzinę odlotu tego uczynić nie mogłem. W domu zabrałem się do napisania tych wspomnień, które rozsyłałam w dniu 26 sierpnia, bezpośrednio po zapisaniu tekstu tym, których znam adresy e-mail'owe. Wszyscy Korespondenci będą czekali jeszcze przez kilka dni, zanim wyślę wydruk wspomnień dołączając kilka zdjęć zrobionych przeze mnie lub osób mi towarzyszących. Następnym moim zajęciem będzie opracowanie przywiezionych z Polski na płytach DVD w liczbie około dwa zdjęcia, z czego 1800 jest moich. Na płytach wszystkie zdjęcia doślę może jeszcze we wrześniu.

Szczęść Boże!

O. Jan, omi